

Stanisław Sławiecki

## Księżniczka

Idylla.

2

— Ho! ho! — śmiał się na całe gardło, pokazując przytem dwa szeregi zdrowych zębów — wysypia się pan, wysypia... a tu słońce panu do samych oczu się śmieje, śniadanie czeka i panny się w ogrodzie niecierpliwią...

Adam się z lekka zarumienił.

Proszę, czemuże zasłużyłem na tyle względów?

A no, mój panie, bez pańskiej ten tego orazy, czy to dziewczętom dużo trzeba? Słyszał może pan gadkę o pensyonarkach, co się to ten tego kochały w kapeluszu księdza katechety... ha... ha... ha...

A pan... z Krakowa... młody... ukończony filozof... nagadałem im, że z pana poeta... no i już... czegoż trzeba więcej?

— Ach! pan naprawdę dla mnie zbyt łaskawy, boję się, abym nie zawiódł pańskich nadziei — odrzekł onieśmielony Adam.

— No, no! jakoś to będzie! Co zaś do pańskiego ucznia — ciągnął dalej pan Rafał — to dzisiaj będzie pan miał jeszcze spokój, bo księstwo przyjadą z Krakowa prawdopodobnie dopiero jutro.

— A księżę mówił mi, że od dziś zacznę lekcye...

— Tak, tak, mieli przyjechać przedwczoraj, tymczasem córka zasłabła, pewnie ją główka zabolala, no i ten tego, powrót się odwlokł.

— Córka zasłabła? — powtórzył prawie szeptem Adam.

W tej chwili w myśli stanęła mu uroczą jej postać, tej dziewczyny z twarzą anioła, niby cudny twór Grenze'a. Jej oczy niebieskie, szeroko rozwarte, te usta karminowe o namietnym rysunku, a te włosy złotawe w cudnych się loczkach wijące dokoła wypięszonej twarzy.

Lecz pan Rafał nie dał mu czasu do tych rozmyślań i wzięwszy pod rękę, poprowadził do ogrodu.

Za lewem skrzydłem pałacu, o jakie dwieście metrów od niego stał dość duży dom, na kształt szlacheckiego dworku. Przed domem przy zastawionym stole, nakrytym białą serwetą, siedziało całe towarzystwo. Oczy wszystkich zwrócone były teraz w stronę nadchodzących. Śmiechy i rozmowy umilkły; przy stole zapanowała kłopotliwa cisza. Przerwał ją pan Rafał, prezentując Adama:

— Pan Adam Drzemirski, filozof z Krakowa.

Starsza pani, widocznie żona pana Klimowicza, skinęła mu uprzejmie głową i podała rękę do ucałowania, panny lekko się zarumieniwszy, spuściły oczy i dygnęły w panińskim ukłonie.

Adam wpadł w łobuzerski humor. Pannom uściśnął łapki, obu z silnem przejęciem, mamie i ciotce panien w jednej osobie, prawil komplementa — jednym słowem był eleganckim, rozmownym, dowcipnym. Tyle zalet ześrodkować w sobie odrazu nigdy mu się jeszcze nie zdarzyło. Zrobił też bardzo korzystne wrażenie. Mama rozpytywała się go o Kraków, dowiadywała się o każdą ulicę, niemal, że o każdy dom z osobna. Tu bowiem spędziła wiosnę swego życia, panińskie lata. Tu poznała swego męża i tu prześniła z nim te pierwsze, niezapomniane dni wyznań i miłosnych uniesień. A gdy to wszystko już opowiedziała i pytania się wyczerpały, przyszła kolej na panny, które tymczasem oswoiły się już z nowoprzybyłym.

— Jakiemu działowi filozofii pan się poświęca — zapytała widocznie śmielsza panna Zofia — słyszałyśmy od tatusia, że literaturze polskiej?

— Tak, proszę pani... oprócz tego naturalnie...

— A pan podobno i wiersze pisze — dodała nieśmiało młodsza z panien, silna brunetka o ciemnych marzycielskich oczach, Ewunia.

— Ee... co to za wiersze, proszę pani... czasem coś się napisze...

— Bo ja, to strasznie lubię wiersze...

— I ja też — dorzuciła Zofia.

— Musi nam pan co przeczytać, czy dobrze — prosiła Ewunia koniecznie.

— Ale z całą przyjemnością, przy pierwszej raz sposobności.

Adam zaproponował spacer po parku. Panny chętnie się zgodziły; szli wolno aleją utworzoną wśród drzew najrozmaitszych gatunków. Aleja wila się i rozdzielała na węższe aleje i ścieżki, tworząc mnóstwo zacisznych kąci.

— Mieć taki park, to prawdziwe szczęście, coś prawdziwie pięknego — zachwycił się Adam.

— W takim parku to dopiero można napisać

wierszy! — rzekła na to z przejęciem panna Zofia — prawda, panie?

— Naturalnie, i jakich jeszcze! — śmiał się Adam, a dziewczyna się zapłoniła i rzekła:

— Niech się pan nie dziwi, że ja czasem coś niedorzecznego powiem, ale to nie moja wina, ale brak wyższego wykształcenia. Uczylam się wprawdzie, skończyłam pensję, ale co z tego wszystkiego. Prosiłam tatki, chciałam się uczyć dalej, wszystko na nic. Tatko powiedział, że celem kobiety jest co innego, jest wyjść za mąż... i... i... być matką... wie pan... tak, tak... a ja chciałam się uczyć — skarżyła się, lży mając w oczach — a mężczyźni skąd mają to prawo, co? Niech pan powie! A potem jeszcze się nie uczą, tak, jak mój brat Witold, już cztery lata próżnuje.

— Żal mi pani — rzekł cicho Adam, zamyśliwszy się na chwilę. Tak zamyślony szedł dalej, nic nie mówiąc i nie zauważył nawet, z jakim wyrazem patrzyły na niego pocziwe oczy tych dwóch świeżych dziewcząt.

## III.

Mogła być szósta wieczorem. Słońce już zaczynało się kryć za wierzchołkami drzew ogrodowych, złocąc ich listki jakimś fosforycznym blaskiem. Adam wyszedł na spacer. Szedł bez celu przed siebie. Z ogrodu wyszedł na pola i zbliżał się ku rzece. Tu las dochodził do samej wody, która łagodnie pieściła korzenie drzew.

W pewnej chwili usłyszał za sobą piosenkę, głosem niewieści nuconą. Stanął i czekał. Z za małego wzniesienia ukazała się szybko idąca młoda dziewczyna i nie przestawała śpiewać. Adam odniósł wrażenie, że zna skądś ten miły, figlarnie brzmiący głos niewieści.

Nim się jednakże namyślił, ona już była przy nim i chwyciła go za obie ręce.

— Idzie pan marzyć! Co? niech się pan przyzna — wołała wesoło Ewunia, śmiejąc się, a jej srebrny śmiech rozlegał się dokoła, dźwięczne między konarami drzew wywołując echo.

— No niech się pan przyzna, przepadło, niema się co zapierać! Złapałam pana na gorącym uczynku.

— Ależ nigdy — bronił się zaferowany Adam.

— Wierzę, że się panu trudno przyznać, ale to nic, ja tego nie wymagam. Nie powiem nawet nikomu, tylko jeden warunek.

— Proszę bardzo, niech pani rozkazuje!

— Nie, to nawet nie warunek, ale prośba...

— Prośba pani będzie dla mnie rozkazem...

— Kiedy się wstydzę... śmiała się, a rumieniec pąsowy okrył jej rumiane liczka.

— No proszę — zaczynał naprawdę prosić, nie wypuszczając jej rąk z swych dłoni, zaintrygowany Adam.

— Ja... chciałabym pójść z panem marzyć! — rzekła naiwnie i okryła swe ciemne oczy wachlarzami długich rąk.

— Ha, ha, ha, — zaczął się Adam śmiać serdecznie — no dobrze, proszę pani, ale jak to sobie pani wyobraża to nasze marzenie... co?

Dziewczyna zawstydzona się i zadyszana wyrwała swe ręce z jego dłoni.

— Myślałam, że pan się nie będzie śmiał ze mnie, tak jak z Zosi... a pan taki nie dobry!

Nie pojechałam nawet po Toldzia, skłamałam, że mię boli głowa, nudziłam się, czekając dwie godziny aż pan przyjdzie... a za to pan się ze mnie śmieje.

— Nigdy, nigdy, proszę pani, gdzieś śmiałybym, ależ jakże, pani mnie nie rozumiała, tylko doprawdy ja nie znam reguł na „marzenie“, nie jestem marzycielem i nie umiem wytwarzać tego nastroju...

Ale ona nie słuchała go, a w jej oczach dwie kryształowe łezki utkwily i czekały chwili, aby móżdżkiem spaść na biały staniczek i innym miejsce uczynić.

Adama zaczęło to młode dziewczę bawić i interesować. Biedactwo! — pomyślał i postanowił za wszelką cenę ją prześlagać, choćby mu przyszło przymusowo marzyć.

Przysunął się do niej bliżej i mówił:

— Pani mnie przecież zrozumie.

— Niel Nie chcę, nic nie rozumiem, bo ja jestem dla pana za głupia, ja pana... nie... nienawidzę — i wybuchnęła płaczem zakrywając oczy fartuszkciem.

Zaczęła uciekać.

Dogonił ją i ujął przemocą wyrwywając się rączkę i zaczął okrywać pocałunkami.

— Biedactwo moje — szeptał czule — no pocóż to wszystko? poco? Ja nie jestem taki zły i zarozumiały, jak się pani wydaje, no proszę mi darować, bardzo proszę.

— Niech pani wytrze oczka, bo i ja zaczęłam płakać!

No proszę, niech mi pani spojrzysz w oczy, tak szczerze, po przyjacielsku, tak jakby między nami nic nie zaszło...

— Nie, nie chcę — broniła się coraz słabiej, aż wreszcie opuściła fartuszek, odkrywając zaróżowioną twarzyczkę. Spojrzeli sobie w oczy tak długo... przeciągle i... wszystkie lody stopniały.

Ujął jej rączkę i tym razem nie wzbraniając się... całował długo. Wolno szli dalej zboczem, coraz ku strumieniowi opadającemu.

Nad strumieniem tu i ówdzie, z dawnych jeszcze lat widocznie, leżały mniejsze i większe głazy porośnięte mchem. Do jednego z głazów podeszli. Ona usiadła na kamieniu, a on u jej stóp na trawie.

Dłuższą chwilę siedzieli tak cicho, wsłuchani w szmer płynącego strumienia. Ona pierwsza przerwała milczenie.

— Niech mi pan powie, jak to jest z tem... tem natchnieniem. Bo pan przecież pisze wiersze, to pan musi wiedzieć, musi mieć pan takie chwile, w których pan zaczyna o swym tworze myśleć, w których pan przestaje żyć naszym życiem, a żyje w świecie innym... tym lepszym, szlachetniejszym...

Bo ja takbym chciała pisać wiersze... wie pan, tylko proszę niech pan nikomu nie mówi... bo ja to nawet próbowałam pisać. Nieraz siedziałam nad kartką papieru długo, próbowałam różnych tematów, ale wszystko na nic się zdało.

Raz pamiętam, posłyszałam, że noc daje najwięcej natchnienia, że taka cicha letnia noc przecudne baśnie do ucha szepcze, serce przepaja dziwną tęsknotą...

Podobno wszyscy poeci w nocy tylko piszą...

Wieczorem jak zawsze położyłam się spać, ale nie usnęłam. Gdy dom już cały w ciszy spoczął, zapaliłam świecę i zaczęłam czekać.

Wie pan, czekam i czekam... wokół niczem niezmaczona cisza, tylko od czasu do czasu psy nadszczekują.

Już kilkakrotnie ogarnęło mnie jakieś rozmarzenie, jakieś obrazy przesuwaly się w mej wyobraźni, zdawało mi się, że w duszy mi się jakaś pieśń rodzi, pieśń śliczna, potężna...

Czułam na całym ciele dreszcze... ale to wszystko minęło i nie napisałam... nic... kilka niedorzecznych zdań.

Siedziałam jeszcze chwilę zrozpaczona i nagle przysłała mi do głowy świetna myśl.

Wstałam z krzesła i cichuteńko na palcach zakradłam się do kancelaryi tatusia. Wiedziałam, że w szafie ma cały zbiór fajek i zapas tytoniu. Wybrałam sobie najdłuższą faję, nabrałam do papieru tytoniu i wróciłam do mego pokoiku.

Zasiadłam z powrotem w fotelu, nałożyłam do fajki tytoniu i zapaliłam. Pociągnęłam raz i wciągnęłam ogromną masę dymu do płuc. Miałam w tej chwili wrażenie, że mię ktoś ciężkim kołem uderzył po głowie, w oczach mi pociemniało, uczułam wypieki na twarzy.

Początek! — pomyślałam — trzeba się spieszyć, bo świt już przez szczeliny okiennic się zakradał.

Pociągnęłam raz drugi, trzeci... nałożyłam drugi raz tytoniu...

A potem nie wiem, co się ze mną działo. Zbudziłam się w łóżku, mamusia przy mnie siedziała i zmieniała mi zimne okłady na głowę. Tak się skończył mój pierwszy krok... literacki — wyrzekła śmiejąc się już wesoło.

Popatrzyła na Adama, on siedział zamyślony, a twarz mu się cała pokryła zmarszczkami.

— A panu co się stało? — zapytała zdziwiona jego gwałtowną zmianą.

— Zamyśliłem się...

— I pewnie pan wcale nie słyszał mego opowiadania.

— Ale owszem... tylko w tej chwili przyszło mi na myśl...

— Wolno wiedzieć co...

— Owszem, proszę pani. Przyszło mi na myśl, że my Polacy, wszyscy bez wyjątku, jesteśmy marzycielami, poetami... we wszystkich dziedzinach życia jesteśmy poetami. Nie wiem, czy zna pani zdanie Bismarka, który powiedział o nas, że jesteśmy poetami w polityce, a politykami w poezji. Co do mnie to odważyłbym się twierdzić, że poezja dodaje mi sił, zapалу do pracy... nie akademickiej, dyktanckiej, ale prawdziwie realnej. Wydawałoby się to mogło śmiesznem, a tak jest naprawdę. Poezja nadaje człowiekowi szerszy pogląd na sprawy świata, nadaje życiu idealniejszy kierunek. A kiedy myślę o tej idealnej przyszłości, nie zatracam pojęcia... realizmu życiowego. Owszem idę w życie uzbrojony w tę siłę, jaką daje poezja ideałów. Tak, tak — powie niejedyn poważny człowiek — młody jeszcze